

04485

Oplatę pocztową uiszczono ryczałtem.

Cena 30 groszy.

Rok XIX (XX)

Wrzesień — Grudzień 1937 r.

№ 1.



===== ORGAN SAMORZĄDU MŁODZIEŻY POLSKIEJ =====  
 GIMNAZJUM im. WŁADYSŁAWA SYROKOMLI W NIEŚWIEŻU.

===== Wychodzi we wrześniu, marcu i czerwcu. =====

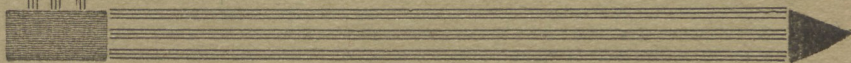
===== LABOREM NOSTRUM PATRIAE. =====

TREŚĆ NUMERU:

- 1) W 75-lecie śmierci Władysława Syrokomli — Maria Czaińska.
- 2) O Akademii Smorgońskiej.
- 3) Wspomnienia z wycieczki na Huculszczyznę — K. Okołów-Zubkowski.
- 4) Różowa przyszłość. (Absolwentka) — Maria Czaińska.
- 5) Studium śniegowe — Nemo.
- 6) Poezje.
- 7) Wesoły kącik.
- 8) Święty Mikołaj.
- 9) Kronika.
- 10) Odpowiedzi Redakcji.

32456

149460





# „PROMIEN”

ORGAN SAMORZĄDU MŁODZIEŻY POLSKIEJ  
GIMNAZJUM im. WŁADYSŁAWA SYROKOMLI W NIEŚWIEŻU.

Wychodzi we wrześniu, marcu i czerwcu.

LABOREM NOSTRUM PATRIAE.

## W 75-LECIE ŚMIERCI Władysława Syrokomli.

15-go września b. r. upłynęło 75 lat od chwili zgonu patrona naszego gimnazjum-Władysława Syrokomli (Ludwika Kondratowicza).

Dzień ten uczciliśmy, zanosząc przed tron Najwyższego modlitwy za duszę tak nam drogiej osoby. Nie było szumnych przemówień, patetycznych deklamacyj. W szary wietrzny dzień, po skończonym nabożeństwie, młodzież udała się do szkół powszechnych, którymi opiekuje się, gdzie czekała na nią uradowana działwa.

Chcieliśmy uczcić pracę naszego Patrona, pracę „u podstaw”, do której tak nawoływał Lirnik wioskowy, uważając oświatę ludu za najpilniejszą sprawę. On to wszak wołał:

„Kto ziarno nauki pochwyci,

Niech zaraz tym ziarnkiem

[bogaci

Wioskowe siostrzyczki

[i braci”.

Jakżeby cieszyły się poważne, dobre oczy Tego, który zawsze podchodził do gminu z sercem, który natchnienia szukał w małych szarych chatkach wieśniaczych, widząc gromadki młodzieży, idącej w kierunku wioski, niosącej „ziarno nauki” i choć skromne, lecz przyjaźnią ozdobione, podarunki.

75 lat upłynęło od chwili zgonu Syrokomli. Żyjemy w innej atmosferze, w atmosferze postępu, pędzimy za nowością, i zeczy stare nużą nas. Utwory poetów czasów Syrokomli nie cieszą się powodzeniem. Mówimy o nich, że są przestarzałe. A cóż powiemy o utworach Syrokomli? I on został zapomniany... Szara smutna postać poety zginęła w tłumie i tylko my, młodzież nieświeśka, której on jest patronem, wiemy coś o nim więcej niż kilka zdawkowych słów, stawiających go w rzędzie poetów okresu międzypowstańowego.

Nam nie jest obca jego twór-

149460

ność, w której tak donośnie dźwięczy uczucie. Znamy jego przesliczne gawędy, w których widzimy nasze okolice, nasze miasto. Wyłania się z wierszy serce, serce, które tak silnie związane było z ludem, z tym gminem szaraczkowym. Jest on nam bliski nie tylko jako poeta regionalny, ale jako człowiek kochający ludzi. Wszędzie niósł swe serce, dźwięczał swą piosnką skowronka, która milkła w gwarze wielkiego miasta, bo serce wyrывało się do wsi, do ukochanych miejsc...

Drogi nam jest Syrokomla i przez to, że w jego utworze p.t. „Szkolne czasy” znajdziemy nasz Zakład. Możemy spojrzeć na gmach, w którym obecnie uczymy się, oczyma Syrokomli. Poznajemy ojców dominikanów, patrzymy z ciekawością na odbywające się niegdyś w tym gmachu publiczne egzamina,

kończące rok szkolny. Przenosi nas poeta w dawne czasy, kiedy jeszcze sam był uczniem tej pięknej szkoły. Wskrzesza naszą przeszłość.

Tak dawno to było... Teraz po korytarzach biega młodzież tak podobna i tak inna zarazem od tamtej, w której otoczeniu żył poeta. Rozbawione, rozhałasowane grono codziennie przebiega obok szarego portretu zamysłonego smutnego człowieka. To Władysław Syrokomla patrzy na nas...

Wrócił znowu do swego Gimnazjum, ale już nie jako uczeń — ale jako Patron, któregośmy sobie obrali za wzór, ukochali za dobre, czyste serce, za prostotę i swojskość.

W 75 rocznicę Twej śmierci składamy Ci hołd najgłębszy: hołd młodych dusz.

Maria Czaińska—kl. VIII.

## O Akademii Smorgońskiej

### Ks. „Panie Kochanku“.

Spśród licznych orszaku ks. Radziwiłłów, ordynatów nieświeskich, niewątpliwie najpopularniejszą postacią był za dni swoich i jest do dzisiaj ks. Stanisław Karol, od ulubionego powiedzenia zwany „Panie Kochanku“. Rozgłośna fama, legenda niemal, o jego bogactwach i ekstrawagancjach, przepychu dworu nieświeskiego i niezwykłych łowach, towarzyszyła mu już za życia, a po śmierci siłą faktu miała się jeszcze bardziej zakorzenić i

rozszerzyć. Ciekawe motywy podchwyciła i literatura — stał się ks. Panie Kochanku bohaterem wielu dzieł beletrystycznych i naukowych, których autorzy w różny sposób do tej bez wątpienia charakterystycznej i ciekawej postaci podchodzili. Dziś znamy ks. Panie Kochanku przede wszystkim jako największego w swoim czasie bogacza, jowialnego Sarmatę starej daty, gościnnego pana na Nieświeżu, zapalonego myśliwca i facecjonistę.

Ale był ks. Stanisław Karol jeszcze kimś: możliwym protektorem i klientem głośnej w w. XVIII i dziś jeszcze powszechnie (ale tylko tradycyjnie i przysłowiowo) znanej niedźwiedziej „akademii” smorgońskiej.

Przed stu pięćdziesięciu laty niedźwiedź—wbrew temu, co by się mogło wydawać—nie był już w Polsce, nawet w jej wschodnich dzielnicach, zwierzęciem zbyt pospolitym. Pamiętamy, jakie to poruszenie, jaką wrzawę w Soplicowie (r. 1811!) wywołała przyniesiona przez gajowego „ważna i niezwykła nona”: „Niedźwiedź, Mospaniel” Po prostu cały dwór szlachecki się przewraca, wszyscy tracą głowę! Oczywiście jeszcze wówczas, a więc tym bardziej nieco wcześniej, za czasów ks. Panie Kochanku, uparty a cierpliwy myśliwiec nadybał ostatecznie gdzieś niedźwiedzia, tak jednak odrazu, na zawołanie tego króla puszcza naszych nikt mieć nie mógł. Dotyczyło to oczywiście przede wszystkim okolic Nieświeża, gdzie częste książęce polowania częścią wyniszczyły, częścią wypłoszyły liczne tu zapewne przed wiekami niedźwiedzie. W razie zapotrzebowania na misia udawano się do Smorgoń, do „akademii”, gdzie stale można było znaleźć zarówno świeżo z lasu przyniesione, jako też i już pięknie wyedukowane niedźwiedzi.

Liczni Cyganie po swej letniej włóczędce po kraju ściągali na zimę do Smorgoń i wówczas rozpoczynała się kilkumiesięczna edukacja, z różnych stron i w różny sposób ściągniętych do akademii, piastunów (niedźwiad-

ków), Pierwszą rzeczą było wybranie spośród gromady zwierząt tych, które nadawać się mogły do tresury. Po tej selekcji, w której „profesorowie” smorgońscy wykazywali wielką bystrość, kandydaci niedpowiedni szli do zwierzyńca albo na potrzeby wyreżyserowanych polowań (były takie i w Nieświeżu), zmyślniejsze niedźwiedzi stawały się elewami akademii i rozpoczynały systematyczny kurs nauk.

Tresura — dość barbarzyńska nawet na owe czasy—przedstawiała się następująco: przekładano zwierzęciu chrząstkę nosową i przeciągano przez otwór kółko metalowe, do którego przywiązywano linę. Jej pociągnięcie sprawiało zwierzęciu dotkliwy ból, co zmuszało je do spokoju i posłuszeństwa. Nauka „tańca” odbywała się w wielkiej sali, w której pośrodku znajdowało się palenisko, a nad nim wielki kocioł. Niedźwiadka umieszczano w owym kotle, rozpalano pod nim ogień, a jednocześnie jeden z „wykładowców” rozpoczynał grać na piszczałce monotonna melodię. Po pewnym czasie rozpalone dno kotła zmuszało niedźwiedzia do podniesienia przednich łap i przybrania pozycji stojącej oraz do przestępowania z nogi na nogę, celem choć częściowego zabezpieczenia się od dokuczliwego bólu. Po pewnym czasie następowała przerwa, a po niej dalsza lekcja, stale przy akompaniamencie tej samej melodii wygrywanej na dudce. Taka nauka trwała kilka tygodni. Głos dudki i konieczność podnoszenia łap oraz „tańczenia”

z nogi na nogę w pojęciu niedźwiadka tak skojarzyły się nierozdzielnie, że gdy następował „egzamin” — już na podwórzu, bez przypiekania! — na pierwszy głos dudki miś stawał na tylne łapy: rozpoczynał swój „taniec”. Było to już równoznaczne z otrzymaniem dyplomu „akademickiego”. Absolwent ruszał wówczas w świat i wędrując ze swym przewodnikiem z miasta do miasta, ze wsi do wsi, zabawiał swą sztuką ciekawą gawieź.

Wychowankowie akademii smorgońskiej w znacznej liczbie wędrowali do Nieświeża, gdzie ich chętnie ks. Panie Kochanku przyjmował i dziwy z nimi wyprawiał. Para niedźwiedzi, ciągnąca sanie książęce, to zapewne też akademicy smorgońscy, a iluz tępych uczniów tej słynnej uczelni, których edukacja szła opornie, padło od kuli księcia i jego gości na słynnych nieświeskich łowach? W czasie pobytu króla Stanisława Augusta w Nieświeżu (1785) książę Karol Stanisław urządził polowanie, na które ściągnął ze Smorgoń dwanaście „niedypłomowanych” niedźwiedzi. Rozsrożone zwierzęta wypuszczono z klatek i napędzono na stanowisko króla, który podówczas sześć z nich trupem położył. Tak nieraz kończyli smorgończycy.

O ostatnich chwilach akademii smorgońskiej tak oto książę w gronie myśliwych opowiada.\*)

„Piękna była akademiał Incydynt fata'ny, panie kochanchanku, żaloszny jej koniec położył. Pacholki psubraty spóźniły się kiedyś ze śniadaniem i głodne elewy całej gremium profesorskie zjadły. Nie mogłem później znaleźć pedagogów chętnych, choć płace lepsze były, niż w Królewskiej Akademii, i tak z wielkim żalem, przyszło aspirantów rozpuścić do lasu. Śmiechu było stąd, panie kochanku, niemiara, bo bestie nic się nie bały. Obławę kiedyś robim: idzie miś wielki jak ratusz (nieświeski), stanął, łapę podniósł i krzyżem świętym nas żegna... Ludzie płackiem na ziemię. — „Cudl” — krzyczą, on zaś mruknął: — „Dominus vobiscum!” — i do lasu wrócił“.

Łatwo domyślić się, ile było prawdy w tych i innych podobnych powieściach facecjonisty. Jeżeli chodzi o akademię, koniec jej był inny. Jednym ciosem dla niej była śmierć księcia Panie Kochanku, jej możnego mecenasa, drugim — fakt, iż z biegiem czasu coraz trudniej było o czworonożnych uczniów. Zabrakło ich wreszcie zupełnie, zabrakło i odpowiednich pedagogów...—akademia skończyła swój chwalebny żywot. Dziś jedynym po niej śladem są utarte, przysłowiowe zwroty językowe: „smorgońska akademiał”, „smorgoński akademik”, przynoszące specyficzną sławę zapomnianym, cichym Smorgoniom—miastu niegdyś „akademickiemu”.

\*) Z. Kossak Szczucka — „Na łowach” („Mówią wieki” cz. III).

## Wspomnienia z wycieczki na Huculszczynę.

Z minionej przeszłości pozostają na zawsze w pamięci pewne chwile. Czy to będą wspomnienia miłe, czy też nie, można ich się doszukać po wielu latach i im to zawdzięczamy, że potrafimy przeżyć na nowo to, co minęło już bezpowrotnie.

Chwil, które wrywają się głęboko w naszą pamięć, dostarcza życie szkolne, a w szczególności wycieczki z tego okresu.

Postaram się podzielić pokrótce wrażeniami z jednej z ostatnich wycieczek—na Huculszczynę.

O przygotowaniach do tej eskapady można by dużo pisać. Powiem tylko, że z tak wyjątkową sytuacją, jaka się przy tym wytworzyła, trudno się spotkać. Zapaleńcy zmuszeni byli w pocie czoła kaptować agitacją współtowarzyszy.

Po długich i zawitych kombinacjach wyjechaliśmy. Skład „odważnych” przedstawiał się następująco: dziewięć panienek m. im. Jadzia, która odznaczała się minorowym nastrojem, „Abi-synka”, Ninka, „Kiejby” i trzech chłopców: „świętej pamięci” Moła, nieustraszony Szymcio i ja. Kierownictwo nad nami objął p. prof. Synycia.

Po 18-godzinnej jeździe poprzez Polesie i Wołyń przybyliśmy do Lwowa. 300-tysięczne miasto tonie w zieleni. Swoim położeniem i architekturą pociąga ku sobie. Widać tu to, czego nie ujrzymy w miastach nowoczesnych—ozdoby i płasko-rzeźby na ścianach domów, no

i charakterystyczne dla Lwowa lwy. Swoim ruchem nie oszalałmia, czuje się jednak, że to jest już życie wielkiego miasta, na skalę europejską.

Po dwudniowym tu pobyciu, podczas którego zwiedziliśmy to, tylko na co czas pozwolił, jedziemy do Borysławia i Drohobycza przez Stryj. (O wszystkich ciekawych historiach ze Stryjem związanych może dużo powiedzieć nasza „pociecha”—Szymcio, który mimo nocy „cierpiał” na bezsenność).

Borysław w nocy przedstawia wspaniały widok. Wszystkie szyby (300 szybów jest obecnie czynnych) są rześcicie oświetlone. Cała góra, na zboczu której znajdują się szyby, wygląda jak ogromna choinka z zapalonymi świeczkami. W Borysławiu mieliśmy bardzo dowcipnego przewodnika: zjawiał się wtedy, kiedy go nikt nie potrzebował (na obiad, na kolację), a znikał, gdyśmy mieli gdzieś iść.

23 maja ruszyliśmy w dalszą drogę—do Stanisławowa. Miasto to odznacza się nadzwyczajną czystością i spokojem.

Po całodziennym tu pobyciu powędrowaliśmy dalej—w góry. Jest wieczór. Po obu stronach wznoszą się już góry. Mijamy Tatarów, Mikuliczyn, Dore, Jaremce, zbliżamy się do Worocty. Do przedziałów przez nas zajmowanych zaglądają Huculi, ubrani w swoje malownicze stroje. Pan profesor Synycia znając język ruski zaczyna z Huculami rozmawiać. Wypy-

tuja się skąd pochodzimy, dokąd jedziemy i t. d. Nastrój nadzwyczaj miły! Zaczynamy śpiewać. W odpowiedzi na nasz śpiew, usłyszeliśmy śpiew kilku Ukraińców i Huculów, jadących na roboty do tartaków. Głosy silne i czyste, melodia rzewna i nastrajająca.

Worochta! Jesteśmy do pewnego stopnia naelektryzowani, bo nikt z nas w górach nie był. Widzimy wysoko w górze świątelnia w chatkach huculskich. Powietrze jest jakieś inne.

Idziemy do pensjonatu. Zwiąże się on bardzo sympatycznie: „Dvorek Czarnohorski”, jednak mniej sympatycznie wygląda i niezbyt dworskie daje podróżnym wygody. Ale to drobiazgi!

Na kolację mamy już bryndzę góralską. Konsumujemy ją prędko i idziemy spać, bo jutro rano w góry.

Nazajutrz pogoda wspaniała. Od samego rana byliśmy w górach. Howerłę widzieliśmy pokrytą śniegiem. Góry po stronie czeskiej (do granicy czechosłowackiej z Worochty jest za ledwie parę km.) były całe w śniegu.

Co za wspaniały widok!— w dole kwitnące sady, a w górze śnieg i narciarzel!

Po południa grupa śmiałków wybrała się na Rebrowacz (wzniesienie przeszło 1500 m. n. p. m.) Nie mogę nie wspomnieć o nadzwyczajnych wyczynach Jadzi i Abisynki, które chciały wszystkich zadziwić. Pocięźnie to mocno wyglądało!

Widok ze szczytu Rebrowacza cudowny! Przed oczyma roztacza się niczym nie zastąpiony widok. Wzrok przerzuca

się od śnieżnych szczytów po stronie czeskiej, do coraz to niższych wzniesień, opadających ku północy.

Słońce zniża się ku zachodowi, szczyty śnieżne pokrywają się purpurą—czas wracać. Z żalem zaczynamy schodzić na dół w kierunku Prutu. Po drodze mijamy skocznię narciarską. (Naprawdę trzeba być odważnym, ażeby z takiej skoczni skakać!). Opuszczamy się po 350 stopniach wzdłuż skoczni i jesteśmy nad Prutem.

Następnego dnia rano jedziemy do Jaremca. Pensjonat, w którym zatrzymaliśmy się, leży nad samym Prutem. Po śniadaniu idziemy znowu w góry. Tu już mamy inny typ gór—są to skały. Wyniosłe gołe ściany wznoszą się prostopadle w górę po kilkadziesiąt metrów.

Chodzenie po górach jest utrudnione, tym bardziej, że nie mamy odpowiedniego obuwia.

Obejrzelśmy Kamień Dobosza (Dobosz to legendarny zbój—bohater huculski), grootę Dobosza, gdzie chronił się przed pościgami. Koło kamienia Dobosza widzieliśmy wjazd do najdłuższego w Polsce tunelu.

Popołudnie spędzamy nad Prutem. Kapiemy się (tylko chłopcy) i opalamy (tu już wszyscy), oglądamy wodospad i wiadukt kolejowy.

Prut w nocy może niejednego natchnąć. My chłopcy długo w nocy czekaliśmy, ale nie wiem tylko, czy natchnienia, czy też wilnianek, które były też na wycieczce i stale deptały nam po piętach.

Skończyły się dobre czasy, zbliżał się koniec.

Śpiewając „Góralu, czy ci nie żal” opuszczaliśmy góry. Przez Stanisławów, Halicz (tu całodzienny pobyt—kąpiel w Dniestrze, przejażdżki łódką i t. d.) jedziemy do Tarnopola. W Tarnopolu spędzamy prawie całą dobę. Spotkaliśmy tam naszą dawną koleżankę—Basię Lipską z siostrą Gabrysią.

Czas w Tarnopolu minął bardzo szybko. Mieliśmy już teraz wracać wprost do domu.

Znowu przejazd przez Podole, Wołyń i Polesie do Nieświeża.

Przez dziesięć dni żyliśmy innym życiem, wyrwaliśmy się

z szarzyzny codziennej, ujrzelismy tyle rzeczy pięknych.

Ile to wrażeń daje taka wycieczka, ile wspomnień miłych i wesółych!

Opaleni, pełni humoru, świeżych i niezatartych wrażeń, wracaliśmy do dalszej pracy. Mając w pamięci piękno i radość wyniesione z tej wycieczki, nie mogę tu nie podziękować p. prof. Synyci za jego trud w organizację wycieczki włożony i za jego troskliwą nad nami opiekę.

K. Okołów Zubkowski  
kl. VIII.

## Różowa przyszłość.

(ABSOLWENTKA)

Z książką niedbale rzuconą na kolana siedzę na pniu drzewa.

Trochę ze złością odtrącam psa, który łasi się do mnie.

Mógłby uszanować moje zdemerowanie!

Książka spada mi z kolan — nie mogę czytać! Wszystko wzięło w łeb—dziś stwierdziłam to z przeraźliwą pewnością... Jeszcze mam w uszach dźwięk słów rzuconych przez brata, jeszcze w ustach czuję gorzki smak wyrazów, których nie zdołałam wypowiedzieć. Stłumiłam wszystko w sobie, jak mówią poeci, a teraz przyszedłam do lasu pocieszyć się... Chcę gwizdać... ot, tak niedbale — wszak nic się nie stało, dziury w niebie nie ma! Powiedział mi tylko brat, że studia dalsze dla kobiety są zbędne. „Masz na czym żyć,

czego ci brakuje?! Mature do stałaś, jesteś absolutnie w porządku, dalsze studia pociągną za sobą wydatki, zrujną zdrowie i... wszystko jedno wyjdiesz zamąż“... Tak, to ostatnie to chyba najważniejszy argument!.. Głupio... głupio...

Cudowna perspektywa! A więc: siedzę w domu, robię robotki, czytam romanse (koniecznie do całości potrzebne), prowadzę konwersacje z jakimś wójtem czy nauczycielem, który zawita do braciszka na karty i na roztrzęsienie plotek, kiusujących w miasteczku, nakryję do stołu i w dalszym ciągu będę słuchała, jak to Kasa Stefczyka kłóci się ze Spółdzielnią i jak p. starosta przyjeżdżał na inspekcję do gminy i jak mu się X nie uklonił... Dławię się tym obrazkiem!..

— „Jesteś nadawdę szczęśliwa — mówi brat — masz wszystko-po co ci studia? Rezygnując z wyjazdu mnie dopomożesz, wiesz przecież jak teraz trudno“. Wiem, wiem i to także wiem, że mnie naprawdę trudno wyrzec się całkowicie swych planów i marzeń.

Więc po to tylko skończyłam gimnazjum, aby zostać w domu? Jeszcze nie tak dawno, bo zaledwie rok temu, nikt mi nie przeskadzał, gdym snuła plany o studiach, o dalszej pracy. Pa trzyli na mnie jak na dziecko, bawiące się nieszkodliwą zabawką. Teraz i to mi odebrano.

Ja, która niegdyś tak zawzięcie napadałam na te, które z tych czy innych względów nie idą na studia, ja, która wygłaszałam patetyczne zdania, że każda kobieta powinna się starać o samodzielną pracę, — mam siedzieć w domu beczynnie, zostać szarą gaską, pionkiem!.. Złośliwy chochlik szydzi ze mnie nielitościwie: „To tylko w ustach Cyganki, która Ci wczoraj wróżyła świetlaną przyszłość i dalekie podróże, byłaś czymś — w rzeczywistości jesteś“... Ach, machnęłam ręką!

Pies patrzył ze zdziwieniem na moje gesty, których nie rozumiał. Spojrzałam w jego wierne oczy: — „Będiesz miał towarzyszkę w swoim smutnym żywocie — nie pojedę już więcej w jesieni, jak to zwykle czyniłam“. — Merdnął wesoło ogonem, widząc, że nie mam zamiaru przedłużać medytacji.

„To chyba najwierniejszy towarzysz—pomyślałem — z nim można się porozumieć“.

Na dnie serca tliła jeszcze

iskierka nadziei, że może... może coś da się zrobić. Mogę przecież żądać stanowczo dalszego kształcenia. I ja mam prawo do dziedzictwa, z którego zrezygnuję, byleby brat mię kształcił. Tak, mam prawo i ja domagać się czegoś. Dlaczegożby nie? Znajdę w sobie chyba tyle siły, aby powiedzieć: „Chcę! musisz mi dać to, czego żądam“. Już wyobraziłem siebie, jak mówię do brata. Jestem stanowcza, bezwzględna.

Myśli mi się zaczęły macić, rozpraszać. Uwagę pochłonęła śliczna ważka, siedząca na liściu paproci. Skrzydełka jej mieniły się tęczą kolorów—śliczny owad! Wzrok przesunął się z drzewa na drzewo, z liścia na liść. Tyle życia w tym lesie! Majestatyczne jodły, stare o długich warokczach brzozy patrzyły na mnie z wysoka zdając się mówić, że nie wszystko jest takie beznadziejne. Jest tyle tajemnic ukrytych w głębiach lasu, jest tyle muzyki w świergocie ptaków, tyle piękna ma w sobie szare zorane pole, że najpiękniejsza symfonia wielkiego miasta nie odda tego. Złocą się lany zbóż, szumi las, opowiadając tysiące tajemnic niezrozumiałym dla ludzi językiem.

Przygarnia litościwie wszystkich, wchłania ludzki ból i zwierzenia i nie zdradza... Tak, więc nie wszystko jest takie beznadziejne — jest i tu tyle piękna!.. W zamyśleniu rwałam rosnące obok trawy...

...Więc zostać, zostać tutaj, przekreślić wszystko, o czym marzyłam w ciągu długich nocy. Niel to przekracza moje siły i nawet ty, lesie, nie zdo-

łasz mię zatrzymać! Nęci mię inne życie, nęci mnie miasto, pociąga praca samodzielna — chcę żyć, a nie wegetować! Gdybym miała więcej siły walczyć o moje marzenia! Zagryzam mocno wargi... i zaraz te niepotrzebne łzy...

Wracam do domu. Szarzeje już. Brat siedzi na płocie i pali z zadowoleniem papierosa. — „Chodź tu — woła na mnie — wiesz, na jutro mamy zaproszenie do N.”

Wiedziałam już, co powie dalej. Trzeba będzie tam pojechać, — nudzić się beznadziejnie, słuchając rozmów o pogodzie i narzekań na złe czasy. Pojadę, bo i cóż mam lepszego do roboty? Nisko spuściłam głowę, nie zwracając uwagi na gadani-  
nie brata. Skonstatowałam, że jestem jak automat: chodzę, jeżdżę, odwiedzam znajomych dlatego, że tak wypada. Nie zdobęde się na żaden energiczniejszy odruchl..

Opartam się o płot. Cisza... Jakiś ciężar niewypowiedziany kładł mi się na duszę. Zdawało się, że wszystko naokoło zamiera, a tylko w duszy wzrasta jakaś tęsknota za czymś nierzeczywistnym, jakiś ból, którego nie można nazwać, a który tak niewypowiedzianie męczy. Czarne kontury drzew, a wśród nich mój dom, wszystko mię przytłaczało... Coś załamało się w duszy, szlochem ścisnęło się gardło... Płakałam jak dziecko bezradne, nie znające w lesie drogi. Gorące łzy toczyły się po policzkach, a z

nimi splywała gorycz nagromadzona.

Ktoś stanął cicho obok mnie. — „Hanko!” — nieśmiało zadzwonił w ciszy głos. To matka, która zawsze pamięta o dziecku. Zapragnęłam teraz przytulić się do niej, zapragnęłam, aby mię mocno ujęła w swe ramiona jak małe dziecko...

Nie pytała mię o nic. Jej stara pomarszczona ręka gładziła moje włosy. W tej niemej pieśszczocie zawarła wszystko. Upadłabym jej do nóg i dziękowała za tę tak drogą chwilę...

„Hanko — odezwała się — rozmawiałeś dziś z Antosiem — on nie chce, abyś jechała na studia. — Widzisz, jemu trudno, ale on chce też twego szczęścia — i ja nie chce, żebyś jechała. Antoś nie ma dla mnie czasu, widzisz, on tak pracuje, a ja nie miałam nikogo od śmierci twego ojca, kto by mi starość osłodził, a już niedługo...”

-- „Mamo! nie kończ! zosta-  
nę, na pewno zostanę!.. Boże!..

\* \* \*

Wszyscy już śpią. Żółty płomyk lampki naftowej rzuca złotowe refleksy na rozłożony na stoliku nocnym prospekt z uniwersytetu. Prędko składam tę kartę papieru i chowam daleko na dno szafki z książkami...

Powoli zamykam szafkę, gaszę płomień... — Zamknęłam swoje marzenia...

Maria Czaińska — kl. VIII.

## Studium śniegowe.

Długo nie można usnąć w te białe, śniegowo-miesięczne noce. Bezsenne oczy przyciąga błądy prostokąt okna, odbijający na tle pociemniałych ścian. Białdy prostokąt magnetyzuje. Trzeba tam iść i przezeń chłonać oczwma tajemnicę śpiącego w puchu miasta.

Wieczysta, odradzająca się wciąż baśń białej mozaiki ulic, domów w błędnej księżycem nocy...

Przez szklistą tkanę szyb wtula się łakomy wzrok w ciszę i miękkość, seledyn i biel. Niemożliwym zdaje się żaden dźwięk. Wymarłe są czarne czełuście okien, przysiadłych nagle ku ziemi, domów, zapatrzone

we własną głąb i mrocznie.

Przedziwna, zakłęta w biały puch cichość!

I gdyby nagle z czyichś ust buchnął krzyk jakiś ogromny, to... zapadłby się bezgłośnie, miękko, bezopornie w biało-księżycowy cud.

I gdyby skądś porwał się wicher, wicher, co potęgę kolosów-drzew łamie niby trzciny, to... przypadłby bez sił, pokornie, a poddańczo u stóp śniegowej ekstazy, co w niewypowiedziany, niezbadany nigdy brylantowy dziw zaklina miasta i wsie w blade śniegowo-miesięczne noce.

Nemo.



P O E Z J E.

## Z mojego okienka.

Z mojego okienka patrzę w świat daleki,  
Gdzie precudnym kolorem nasze lśnią pejzaże:  
Pola, drogi szerokie i wiejskie cmentarze,  
Lasy szumem tajemne, zadumane rzeki...

Z mojego okienka, przymknąwszy powieki,  
Poprzez całą Białoruś duszą lecąc, marzę.  
Dla nas ziemia ta dana, pełna cudów, w darze,  
Cały kraj ten precudny, ludny i daleki.

Bożel Jakże ja kocham te srebrzyste niwy,  
One syć mi oczy swą malowniczością,  
Jak ptak wolny się czuję, jak orzeł szczęśliwy,

Bo to, co nas otacza, lubą tchnie swojskością  
I wprowadza każdego w jakiś zachwyt żywy,  
Że przebywasz wśród cudów z młodzieńczą radością.

\* \* \*

Z mojego okienka widzę te kurhany,  
W których męzów zwycięskich zasnął hufskrzydlaty,  
Gdzie się w prochy zmieniły ich kości i szaty,  
I z ziemią się zmieszały krople krwi wylanej.

Z mojego okienka przeszłości oddane,  
Widzę przez mgłę lat dawnych wzorzyste makaty:  
Dumne zamki i twierdze i ubogie chaty,  
Pograżone wśród puszczy, obce i nieznane...

Zda się slysze: daleko gdzieś jeszcze broń szczeka,  
I rozbrzmiewa w mdłym echu krzyk wojennej zgrai:  
A w murach, których pamięć wieków się nie lęka,

Strząsając pieśnią prochy z liści świętych gai  
Czas, staruszek znużony, przed ołtarzem kłęką,  
Szepcząc: „Cześć tej przeszłości, co się w tajniach  
[czai”.

Mikołaj Szczerbowicz—kl. III-B.

## Noc jesienna.

Noc jesienna, bezdenna i ciemna,  
Wieje smutkiem straconych nadziei,  
Drzemie cisza wokół tajemna,  
Nuci wicher o śnieżnej zawiei.  
Uleciały za wiatru powiewem,  
Odplynęły w dal z prądem strumyka  
Złote liście — zginęły pod drzewem,  
Wokół pustka rozsiadła się dzika.

Nie ma szumu, szelestu, rozmowy,  
Nie ma barw ożywionej zieleni,  
Nie igrają już łąki, dąbrowy  
W złotym blasku rozkosznych promieni.  
Nigdzie nie ma już kwiatów, wonności,  
Noc jesienna pokryła rozłogi...  
Nikną siły, nadzieje młodości,  
Serca ranią i ciernie i głogi.

Kwitnie życie radością, otuchą,  
Gdy młodości żar smutki rozwiewa,  
Lecz w jesienną noc ciemną, noc głuchą  
Dziwny smutek mą duszę oblewa

I wciąż szepcze mroczna dal,  
Że jak liście drzew w dolinie,  
Młodość nasza tak przeminie,  
Pozostanie żal...

Hućko Jan—kl. IV-A.

## Z i m a.

Przyszła zima otulona  
 Płaszczem z jasnych ros,  
 Z kiści szronu jej korona,  
 Śniegiem kryty włos.

Suknia jej się skrzy i mieni,  
 W księżycową noc,  
 Gdy rozsiewa krąg promieni  
 Białych gwiazdek moc.

Stara ziemia otulona  
 Już spokojnie śpi  
 I o wiośnie marzy ona,  
 I o gwiazdach śni.

Zofia Bartoszewiczówna—kl. I-A.

---

## Na saneczkach.

Już zasypał śnieżek biały  
 Nasze pola, nasze chatki,  
 W biel otulił świat ten cały,  
 Pousypiał wszystkie kwiatki.

Kędy spojrzysz, wszędzie biało,  
 Wszędzie miękki śnieżek leży,  
 Co zasypał ziemię całą  
 I pod płaszczem swym ją dźrzy.

Już wybiegły z chatki dzieci —  
 Buzie ich są roześmiane,  
 Każde z nich na górkę leci,  
 Dzierżąc sanki rozbujane.



# WESOŁY KĄCIK.

## Nasze klasy.

Publiczności prawie setka,  
Každy wszędzie nos swój wetka,  
Každy ryczy, fika, hasa —  
To jest nasza **pierwsza klasa.**

\* \* \*

Różnorodnych typów wianek:  
Ten—jak zbój, ów—jak baranek,  
To do Sasa, ten do lasa —  
To jest nasza **druga klasa.**

\* \* \*

Rozmarzona, rozkochana,  
Z sentymentów wszędzie znana,  
Amor często tu popasa...  
To jest nasza **trzecia klasa.**

\* \* \*

Energiczne Herod-baby,  
Pod niebiosa smukłe draby  
(Znajdziesz tu sportowców asa!)—  
To jest nasza **czwarta klasa.**

\* \* \*

Ondulacja, lakier, wąsy...  
Czasem spacer, czasem pląsy,  
Chłopcy, panny—sama krasa —  
To **liceum pierwsza klasa.**

\* \* \*

Filozfię je potrochu,  
Nie wymyśli jednak prochu...  
Szarych ludzi szara masa —  
To ostatnia **ósma klasa.**





## MAŁY JAŚ MA GŁOS.

(trzeci list do wuja w Klecku).

### KOCHANY WÓJÓ!

Pierszych słowach mojego listu pośpieszam oznajmić, że jestem repetytem w pierwszej klasie czego i wójowi serdecznie rzyce. Jaktó siestało tego sam niewiem, bo i sprawowanie miałem odpowiednie (a czyto źle odpowiednio się zachowywać) i stopni złych nie miałem najwyżej niedostateczne i fczercu wkówałem jak dziki osioł ale to wszystko napróržno. Widać jósz sprawiedliwość wyjechała do ameryki. Repeta w klasie nietak smakóje jak przy stole, ale co wójowi otem pisać kiedy wój jósz zęstażał i współczesnej młodzierzy nie rozumie.

Pytasie wój co słyhać w szkole oturz durzo słyhać a najwiecej potczas dórzej przerwy. A co w naszej klasie totak. Nasza klasa to takie pospolite rószenie całego województwa a każdy swoje Kaczanowicze chwali. Jósz ja tu jednemu dobre dałem fcieranie, bo powiedział, że Kleck to parszywa mieścina.

Jest nas razem jakby puł rodziny Krula Pryjama — równo 50 sztók, i ja myślę rze ten krul był bardzo mondry kiedy ssetko wytszymał bo tutaj jósz od połowy głowa tszeszczy. Na kolegóf nienażekam, so i tacy morowi rze usmaka fkoziruk zapendo ale zato koleżanki to požalsie Boże. Wójaby kref załała (unas na to muwio szlak trafi) rze by je zobaczył. One jusz mažo o ađulaci i o malowaniu paznokci czerwono polituro, ale tym czasem to unich palószki mocno rzałobne, bo w atramęcie. A sympacji to unas nie znajdziesz, bo karzda muwi rze my dlanich zaniska sfera. Jaim kiedy dam za to nisko sfere asz im bańki z nosa pujdol!

Alé co mnie najwiecej obóża to te ciągle babskie gadanie „my jesteśmy pleć piękna”. Każda z nich powtarza to jak papóga, karzda myśli rze jest piękna jak trzy inki (Reginka, Alinka i Janinka). Ale tak nie jest i dlatego takie gadanie „pleć piękna” to jest zawracanie nosa i bezczelność połonczone z impertynencjo jak mówił jeden uczeń z liceóm, kturémó szyszka spadła na głowe.

Niedawno była unas wywiadófka Moje sprawy stojo mocno. Powiedziano mi rze ja sprawóje sie postaremu czyli odpowiednio i niech ta wiadomość będzie wójowi lekarstwem na reómatys i balsamem na inne choroby wewnęczne.

Wkinie był straszny film Romeo i jólia ale nam nie pozwolono iść nato. Jak ten obraz bendzie w Kleckó niech wój go obejży i przyśle mi jego streszczenie bomnie to bardzo ciekawi. Starsi koledzy muwio rze tam była wielka miłość taka jak w zeszło rocznej klasie czfartej. ale ja na tym sienieznam.

Zdajemy się rze na święta będę miał apetyt na salceson i strócle zmkciem więc morze to wójeka dla wója zrobi a ja tylko poprobóje czyto jest lekko strawne i całoje wója i wójeke mocno

wasz ókochany Jaś.

## Z „Klubu Złośliwców“.

Ludzi złośliwych nie brak na świecie—przy odrobinie cierpliwości znajdziesz ich z tuzin i w naszym gimnazjum. Tworzą oni swoistą organizację: bez nazwy, bez opłat członkowskich, bez zarządu, nakładającą tylko na członków obowiązek bacznego przyglądania się życiu bliźnich i satyrycznego ujmowania wszystkiego, co tylko da się wziąć na ząb.

W dniu 20 listopada w tajemniczych podziemiach naszego gmachu szkolnego odbyło się plenarne posiedzenie Klubu Złośliwców (nazwijmy tak dla wygody tę organizację). Nasz specjalny wysłannik zmyliwszy straż (ściśle biorąc: przekupiwszy ją paczką chałwy) zakradł się na posiedzenie i ryzykując życiem, ukryty w starej beczce — wysłuchał wszystko. Kogoż tam nie przenicowano! — o czym tam nie mówiono!... Po prostu strach powtarzać! Dla zaspokojenia ciekawości naszych czytelników a raczej czytelniczek, bo te pono ciekawsze, podajemy kilka szczegółików. Oto pewien zamaskowany członek K. Z. (wszyscy w maskach— a szelmy!) powiedział np., że...

...kolega Staś zapaścił swoje „huzarki” (zabójcze wąsiki) na rozkaz... z góry, czyli rozkaz koleżanki, liczącej sobie 150 cm. nad poziom podłogi. („Gdzie diabeł nie może”...)

...w pewnych kołach naszych koleżanek rozpowszechniła się ostatnio melodia „Kogoś tu nie ma, kogoś żal, ku komuś serce płynie w dal”... (szczegóły w liceum!)

...kolezdy Tumiłowicz i Pogonowski od Nowego Roku bardzo spoważniają i będą zachowywali się ...„odpowiednio“.

...klasa I liceum rozpocznie oficjalne starania celem prawnego stwierdzenia swej wyższości nad klasą ósmą. („Bo liceum to szkoły kwiat, niechaj mu się dziwi cały świat”).

...koleżanka Jadzia napisała rozczulający list do swojej wielkiej filmowej imienniczki z zapytaniem: „Jak zostać Smosarską”. Odpowiedzi dotychczas nie ma. Niezależnie od tego aspirantka do tytułu gwiazdy filmowej pracuje obecnie nad mimiką: opracowuje obecnie minę Nr. 17 (oglądać można w ciągu każdej przerwy na górnym korytarzu)...

Oto tylko kilka kwiatków z wielkiego bukietu złośliwych powiedzonek, mówiono bowiem o wszystkim, co się stało, staje

lub jeszcze się stanie. W ciągu dwóch godzin „osmarowano” kilkudziesięciu naszych najwybitniejszych kolegów i koleżanek. Z dowcipów tych skorzystamy w przyszłości. Na razie jedna uwaga: ze względu na to, że posiedzenia Klubu Złośliwców odbywają się co tydzień i — co gorsze — mają oni zamiar wydawać swoje biuletyny, radzimy wszystkim koleżankom i kolegom czuwać nad swoim sprawowaniem, by nie narazić się na poważne nieprzyjemności. A więc: uwaga! — Złośliwcy czuwają!

## Święty Mikołaj.

O 5 ma przyjść św. Mikołaj. Rozognione twarzyczki i twarze znamionują zaciekawienie, wy-czekiwanie. Wybranki losu, a raczej łapiej—bo naszych czci-godnych kolegów, oczekują co-najmniej kilkukilowych bombo-nierek, jako wyrazu najgłębszych uczuć. Wszystko jest nieco pod-minowane. Dzwonek oznajmia rozpoczęcie uroczystości. Pcham się z prądem na górę—do sali teatralnej.

Tam gospodarują już „władze” harcerskie. One tu dziś gospodarzami—z ich łona wyjdzie św. Mikołaj. Czułam się taka mała wobec powagi „władz”, że siedząc cicho w kąciku ledwie mogłam widzieć, co też za pomysł wniosą w tym roku „druhowie”. Hm... na razie tylko zgąsło światło. Zapanował mrok, rozświetlany tylko blaskiem palącego się w piecu drzewa, na którego tle odcinała się klasyczna sylwetka Dorrego, co bezwzględnie potęgowało tajemniczy i sentymentalny nastrój. Odrazu dał się on zauważyć przy wspólnych śpiewach, zaprojektowanych przez „druhów”. Rozpiętość tonów była napraw-

dę wielka, bo kiedy druhowie zaczynali, myśmy akurat kończyli. Nie szły nam jakoś śpiewy i mimo zachęającego: „fe... fe... fenomenalnie!” śpiewaliśmy wyją... wyją... tkowo. — Może to z wrażenia przed przybyciem Świętego Staruszka.

Ach, ten Staruszek! Jakiego z niego zrobiono konserwatystę! Z roku na rok bez żadnej zmiany, zawsze w tym samym towarzystwie, zawsze tym samym operujący „dowcipem”, podśpiewanym przez ponurych dryblasów (...lasów ...lasów!) Gdyby te „dowcipy”—„aktualia” były naprawdę wzięte z kosza świętego Mikołaja, bardzo by mu to ulżyło, bo dowcipy wcale ciężkie, ale o tym nie ma mowy—wszak święty Mikołaj śmieci w koszu nie nosi. Co powyżej te wszystkie fidrygały (...gały ...gały)—pójdą do kosza, ale innego i na inny użytek.

Ale posłuchajmy, co rzekł nam nasz „wieszcz”, będący przypadkiem imiennikiem pocziwego świętego.

Wstrząsnawszy dumnie głową, jak przystało na prawdziwego „kochanka muz”, rozpoczął swe

wypociny literackie, pozdrowiwszy łaskawie wszystkich „chłopców roześmianych” (dlaczego akurat roześmianych i dziś nie zdołam dociec). Chciałam i ja uśmiechnąć się, nie chcąc, aby mię pozdrowienie poety ominęło, ale cóż? — nie mogłam, bo na płacz mi się zbierało, gdym słyszała jak nietościwie „poeta” znęca się nad płcią piękną. Chłostał bez litości! Dostało się i „czubczykowi kuczerawym” i Halinom (tu był rym — inwalida, ale to licentia poetica i drobiazg wobec wieczności). Coś tam było i o kokieterce, co to „patrzy do lusterka” i wiele, wiele innych temu podobnych... dowcipów.

Każdy nowy dowcip witało audytorium hucznymi brawami, co tak upoiło deklamatora — poetę, że sam zaczął się śmiać z zachwyty nad swym talentem. Już wtedy, bez zająknięcia zestawiał, Azję, Chinę i Kocię, który — nawiasem mówiąc — jest istotnie zwolennikiem wszelkiej erotycznej egzotyki! Sprytnie rymował „zabawki i turkawki”, aż pociecha brała... Wynikiem tego tworzywa był gniew wszystkich przedstawicielek płci pięknej, którą najgodniej repre-

zentuje liceum... Tak były rozognione godne córki Ewy, że zaszła obawa, iż nie uszanują majestatu „wieszczka” i dojdzie do rękoczynów... ale na szczęście kończył się dowcipny elaborat na czcigodnej ósmej klasie, która tu znalazła uznanie. Geniusz uznał geniusza!

Ale oto i św. Mikołaj! Klasyczną postawę don Jouana gimnazjalnego a teraz św. Mikołaja (o, zgrozo! co za hipokryzja!) ukrywa komża a twarzyczkę zakrywa maska i tylko pełne ognia oczy uszczęśliwiają płęć piękną. Towarzyszy mu zamiast anioła jeden z druhów, który wydatnie pomaga św. Mikołajowi w rozdzielaniu darów. A dary to były nielada! I bomby, i bombki, i pudełka, i pudeleczka, które witały z radością roześmiane buzie panienek...

...I ja tam byłam — ale ani miódu nie piłam, ani żadnego daru nie otrzymałam, bo święty Mikołaj jakoś nie łaskaw na mnie. Cóż robić? Trzeba chyba cieszyć się szczęściem innych, a odchodzącemu Staruszkowi życzyć, by na przyszły rok nieco piękniej i w lepszej kompanii nam się w dniu swoim pokazał.



# K R O N I K A.

Czy ty promienny czytelniku i ty niemniej promienna czytelniczko „Promienia“ zdajecie sobie sprawę, co to znaczy napisać kronikę?! Zapewne myślicie sobie, że tak łatwo, jak zjeść dobrą kolację w dobrej kompanii i w dodatku na cudzy koszt, albo w najgorszym razie, że to godzinka pisaniny przy zielonym stoliku, z kalendarem w garści. O jakże ludzicie się, naiwni! — jakże dalecy jesteście od zrozumienia gorzkiej doli i trudu kronikarza! Otwórzcie szeroko swe czcigodne uszy, posłuchajcie, jaka mnie choćby w ostatnim tygodniu przyjemność spotkała.

...Mrok już zalegał górny korytarz, w wieczornej ciszy snuły się tajemne cienie. Jedyne donoszące się z dołu nieartykułowane dźwięki przekonywały mnie, że gimnazjum żyje, że jestem w szkole, a nie w klasztorze dominikanów. Na chwilę zapomniałem się: utonąłem w ciszy, mroku i — co zresztą skrywać! — w marzeniach... Tak, stałem przy oknie, marzyłem, gdy nagle... staje przede mną tajemnicza postać niewieścia, chwytła mnie za trzeci guzik mundurka i kręcąc nim nerwowo (na szczęście wytrzymał tę pieśczołę!) rozpoczyna ze mną w ten deseń:

- „Kronikarz?”
- „Kronikarzu!”
- „Sumienny?”
- „Jeszcze jak!”

— „A dlaczegożes ty sumienny patałachu — tak rzekła, o zgrozo! — nie zamieścił w swej pomyłonej kronice wiadomości, że P.C.K. urządził „Święto kwiatków“ — ha, dlaczego?!”

Zagadnięty w tak delikatny sposób, już otwieram usta do odpowiedzi, gdy nagle tajemnicza dama grzmi, jak dragon: — „Milczeć! żadnych usprawiedliwień nie przyjmuję! Gardzę nikczemnością! Ostrzegam Cię, nędzniku, że od tej chwili jesteś wyjęty spod opieki P. C. K. Choćbyś konał z pragnienia, żadna z członkiń P.C.K. szklanki wody ci nie poda!”

Ot, — i przyjemność!

Już znikło czarne widmo, a ja stałem zdruzgotany, nie wiedząc, dokąd się udać i co czynić. Pistolet... trucizna... skok z wieży... — ech! nie warto!... — Wróciłem do domu, napiłem się mocnej herbaty i... napisałem kronikę!

\* \* \*

— Rok szkolny rozpoczął się 3 września. Msza św., przemówienia — nastrój podniosły. Dolny korytarz wypełniony szczerze. Tu triumfuje Zbysio, widząc takich, na których może spojrzeć z góry albo przynajmniej nie zadzierając głowy. Jednego nowicjusza zbeształ nawet pogardliwym: „Ty mały!” Na górze jakoś rzadziej: nie ma starej gwardii, ocalały tylko niedobitki.

— 4.IX. wybraliśmy się do kina na film „Pasteur”. I tu cios straszliwy, tym boleśniejszy, że niespodziewany: nie ma już koedukacji — dziewczynki na lewicę, chłopcy na prawicę. Straszna rzecz!... A tak dawniej było w loży wesoło w mieszanym towarzystwie! — tyle wesela, śmiechu, dowcipów! Szczęście, że nie doczekali tego stare wygi (Miecio, Neso, Tazio i in.) — splakaliby się młodzieńcy rzewnymi łzami!

— 8.IX. wybory Prezydium Samorządu. Skład Prezydium nie uległ prawie żadnym zmianom.

— 11.IX. odczyt ks. Dyrektora „Powszechna Wystawa w Paryżu”.

— 14.IX. Powitanie miejscowego pułku ułanów, wracającego z manewrów. Młodzież z zapalem witała żołnierzy zasypując ich kwiatami.

— 15.IX. 75 rocznica śmierci Wł. Syrokomli, Patrona Zakładu. Po nabożeństwie poszczególne klasy odbyły wycieczki do szkół powszechnych, którymi się opiekują.

— 18.IX. odczyt kol. Zajki „Psychotechnika”.

— 25.IX. Film „Wilhelm Tell”. Mieliśmy okazję porównać grę naszych „artystów” z siłami niemieckimi.

— 3.X. uroczystość przekazania trzech samolotów, ufundowanych przez Nieśwież i resztę woj. nowogródzkiego, wła-

dzom wojskowym. Do Nieświeża zjechały tysiące gości — ruch jak w Warszawie! Wrażenia niezapomniane! Szkoda tylko, że loty pasażerskie były dostępne jedynie dla nielicznej grupy wybranych.

— 9.X. podziwialiśmy Martę Egerth w filmie „Skowronek”, pełnym zdrowego humoru.

— 16.X. Z racji minionego „Święta Gór” kol. Tomaszówna wygłosiła na sobótce referat „Tatry i ich mieszkańcy”. O tym referacie można by pisać jeszcze dwa referaty, ale o zmarłych referatach aut nihil aut bene.

— W połowie października ważne historie działy się w burzie. Po prostu zamknięto cały interes, odseperowano od świata (porozdzielano wskutek tego ludzi związanych najsilniejszymi uczuciami). Przebakiwano o dżumie, cholercie i innych katarach i wkrótce doszło do tego, że na dźwięk słowa „bursa” ludzie padali zemdleni. A tymczasem „córy zadżumione” (czytaj: bursianki) przesiadywały pod piecem i na piecu, śpiewały „Czubczyk”, żuły „siemeczki”, słowem pędziły żywot bursianki poczwiej. Wkrótce jednak skończyła się „złota wolność” i trzeba było maszerować do szkoły.

— 30.X. Głośny film „Barbara Radziwiłłówna”. Wypada stwierdzić, że reklama była o wiele piękniejsza od samego filmu.

— 6.XI. Znowu film — tym razem bardzo piękny: „Romeo i

Julia". W czasie wyświetlania na prawicy panował dostojny spokój, za to na lewicy — ulewał masowy płacz... Jak to źle mieć miękkie serce! Po kinie odbyła się sobótka P.C.K. Mówiono o morzu, a więc było dużo... wody. (Może mnie za taką notatkę znowu weźmie w obroty Czarna dama, ale cóż robić: „kronikarz prawdę inowi, względów się wyrzeka” — jak mówił Krasicki).

7.XI. Wywiadówka. W gimnazjum oczywiście wszystko poważnie i spokojnie, ale czy i w domu tak samo? Sądząc po minach niektórych naszych bliźnich, „wywiadówki” domowe miały odmienny charakter. Zagadnięty w tej sprawie jeden z najmłodszych kolegów odpowiedział: „Głupstwo! — od **przybitku** głowa nie boli! I rzeczywiście miał rację — od takich kombinacji **głowa** istotnie nie boli...

— 11.XI. z racji Święta Niepodległości odbyła się piękna defilada, w której brała udział młodzież gimnazjalna, zrzeszona w P. W., Harcerstwie, P.W.K. i P. C. K. Maszerowano z animuszem i werwą!

— 13.XI. Film „Ordynat Michorowski”. Na lewicy znowu płacze i lameńty...

20.XI. Sobótka Kółka Kłasyk. Jak na pierwszy publiczny występ noworodka — bardzo pięknie! Życzymy dalszych sukcesów i laurów (tylko nie akademickich).

27.XI. Piękny film „Na Sybir” ze Smosarską i ulubieńcem na-

szej lewicy kinowej — Brodziszem. Pewna koleżanka z liceum wyszła z kina rozżalona. Zapytana o powód wyrzekła ze smutkiem: „Dlaczegoż nie spełniła się przepowiednia Cygan-ki?!“... Sapienti sat!

— 30.XI. w 107 rocznicę wybuchu powstania listopadowego Ks. Dyrektor poświęcił pamięci bohaterów podniosłe przemówienie. Młodzież uczciła rocznicę minutową ciszą i odśpiewaniem hymnu narodowego.

— 1.XII. Koncert Bendera, Kowalskiego i Nadgryzowskiego. Młodzież zachwycona!

— 4.XII. Tradycyjny św. Mi-kołaj. Wszystko jak zawsze — takie same jak przed laty dowcipy i tak samo podśpiewywane. Największa szkoda, że dowcip „poety” (tak sam siebie nazywał!) był ciężki jak kamień młyński, oraz że wiele podarków trafiło — mówiąc grzecznie —... w niewłaściwe ręce.

\* \* \*

Dobrnąłem jakoś do końca — aż mi lżej na sercu! Ocieram chustką zroszone potem czoło, oddycham głęboko, swobodnie. Co będzie potem, gdy już kronika do rąk czytelników trafi, teraz nie myślę — w najgorszym razie ucieknę do Moli na drugą półkulę — tymczasem zaś od siebie i w imieniu Redakcji zasyłam wszystkim czytelnikom „Pronienia” — Wesołych Świąt!

Kostek O. — Z. VIII.

## Odpowiedzi Redakcji.

**Perełka kl. III-B** — Wiersza „psychologicznego” (I) „W malignie snów” nie zamieścimy, mamy bowiem poważne obawy, że wiersz powstał naprawdę w... malignie. Przy okazji radzimy koleżance przybierać mniej perełkowe pseudonimy: warto zapamiętać, że kucharz Cześnika w „Zemście” też zwał się Perełka i miał nos fioletowy.

**Satyr** — **Liceum.** — Owszem, zgadzamy się, że fraszki kolegi są „soczyste”, ale że nie nadają się do „Promienia” to także prawda. Czy przyjmie je „Mucha”? — pyta kolega. Skąd możemy wiedzieć?!

**M. P.** — **kl. III** — I tym razem nie! — Słabe, nieudolne!

**Futurus.** — Zapatrzył się widocznie kolega na „Skrzydzonego” (był i tak!), który nam swego czasu groził niemal ukamienowaniem za niezamieszczenie jego elaboratów. Zarzuca nam kolega stronnictwo, protekcjonizm i siedem innych grzechów, z tej tylko racji, że dajemy pierwszeństwo rzeczom lepszym przed gorszymi. Pytamy szczerze: czy po rozwadze zdecydowałby się kolega opublikować swoje „poezje”, ale bez pseudonimu — podpisując nazwiskiem? Chyba, że nie, a więc pocóż pogroźki i skargi?!

**Szkarłatna róża kl. IV-B** — Przytaczamy z wiersza koleżanki taki „szkarłatny” kwiatek:

„Księżyc w me oczy spogląda miłośnie,  
Już w nich utonął na wieki“...

Straszna rzecz! Więc utonął nieboraczek i to na wieki?  
No i cóż zrobią zakochani bez księżycy?!

**Aqua.** — Zatrzymujemy. Może w następnym numerze.

**Autorka noweli bez tytułu.** — Rzecz bardzo słaba, nie możemy zamieścić.

**Emma** — Przeznaczony do następnego numeru.

Wydawca: Prezydium Samorządu Młodzieży Polskiej Gimnazjum Państwowego im. Wł. Syrokomli w Nieświeżu.

Redaktor:  
Maria Czaińska.

Redaktor odpowiedzialny:  
prof. Stanisław Kunc.



P-04485

